

Autor EWANGELII KRWI i EKSPEDYCJI

JAMES ROLLINS



LINIA KRWI

PROLOG

Ziemia Święta
Lato 1134 roku

Nazywali ją kiedyś czarownicą i dziwką.

Ale teraz już nie.

Siedziała okrakiem na siwym rumaku, ubranym w czarną zbroję, który stąpał ostrożnie po polu bitwy, po ziemi zasłanej ciałami muzułmanów i chrześcijan. Płoszyła ucztujące kruki i wrony, które krążyły nad nią jak wielkie czarne chmury. Inni, dwunożni padlinożercy, penetrowali pobożowisko, ściągając poległym buty i wrywając z ich ciał strzały, by odzyskać groty i pióra. Kilku ludzi spojrzało w jej kierunku, ale szybko odwrócili wzrok.

Wiedziała, co zobaczyli — jednego z wielu rycerzy biorących udział w walce. Jej piersi były niewidoczne pod wyściełaną kolczugą i pancerzem. Ciemne włosy, sięgające do ramion i krótsze niż u większości mężczyzn, ukrywał stożkowaty hełm, a delikatne rysy — osłona nosa. O lewe kolano obijał się przytroczony do siodła obosieczny miecz, brzęcząc, gdy uderzał nagolenniki kolczugi chroniące jej długie nogi.

Tylko nieliczni wiedzieli, że nie jest mężczyzną — a nikt nie miał pojęcia, że ukrywa tajemnice o wiele mroczniejsze niż sekret jej płci.

Giermek czekał na nią na skraju zrytej drogi. Ścieżka wiła się

stromo w górę do samotnej kamiennej baszty. Masywna budowla, ukryta głęboko w górach Naftali w Galilei, nie miała nazwy i wyglądała tak, jakby wyrzeźbiono ją ze zbrocza. Czerwone słońce wisało nisko nad horyzontem za jej blankami, przesłonięte dymem ognisk z obozowisk i podpalonych pól.

Młody giermek przyklęknął na kolano, gdy zatrzymała przy nim konia.

— Czy on nadal tam jest? — spytała.

Skinął głową. Przestraszony.

— Lord Godefroy oczekuje cię.

Nie chciał spojrzeć w kierunku zwieńczonej kamieniami baszty. Ona nie miała takich oporów. Uniosła hełm, by lepiej widzieć.

Nareszcie...

Przez szesnaście lat — od czasu, gdy jej wuj założył Zakon Ubogich Rycerzy Świątyni Jerozolimskiej — próbowała dokonać rzeczy niemożliwej. Nawet on nie rozumiał, dlaczego chce wstąpić do templariuszy, ale ze względu na pokrewieństwo nie mógł jej odmówić. Dostała więc biały zakonny płaszcz i dołączyła do grona dziewięciu członków założycieli; ukrywała się i zasłaniała twarz hełmem, podczas gdy zgromadzenie rosło w siłę i nabierało znaczenia.

Jej krewni nadal manipulowali rycerskim zakonem od wewnątrz i z zewnątrz: gromadzili majątek i wiedzę, poszukiwali potężnych relikwii z zaginionych krypt i starożytnych wykopalisk w Egipcie i Ziemi Świętej. Mimo doskonałego planowania spotykały ich niepowodzenia. Zaledwie przed rokiem nie udało im się zdobyć kości mędrców — relikwii trzech biblijnych królów, które podobno były kluczem do tajemnic alchemii.

Nie pozwoli, by dziś doszło do kolejnej porażki.

Szarpnąwszy cugle, skierowała konia na skalistą ścieżkę. Z każdym krokiem mijała coraz więcej zwłok, gdyż strażnicy wieży podjęli ostateczną — daremną — walkę, by powstrzymać atak. Dotarwszy na szczyt wzgórza, zastała tam rozbite w drzazgi wrota

baszty, wyłamane potężnym wzmocnionym stalą taranem.

Wejścia strzegli dwaj rycerze. Obaj skinęli do niej głowami. Młodszy z nich, nowy w zakonie, miał przyszyty na piersi szkarłatny krzyż. Inni templariusze zaczęli naśladować ten zwyczaj, symbolizujący gotowość przelania własnej krwi za sprawę. Starszy rycerz, szpakowaty i z ospowatą twarzą, nosił po prostu na zbroi tradycyjny biały płaszcz, podobnie jak ona. Jediną ozdobą ich okryć były szkarłatne ślady krwi zabitych.

— Godefroy oczekuje cię w krypcie — oznajmił starszy rycerz, wskazując wewnętrzną cytadelę za wrotami.

Przejechała na rumaku przez ruiny wrót i szybko z niego zsiadła, powiewając płaszczem. Zostawiła miecz u boku wierzchowca, wiedząc, że nie musi się obawiać zasadzki ze strony jakiegoś ocalałego samotnego obrońcy baszty. Lord Godefroy, choć sprawiał kłopoty, był skrupulatny. O jego gorliwości świadczyły stojące na dziedzińcu drewniane pale z głowami ostatnich obrońców. Ich ciała leżały pod tylną ścianą jak sterta drewna na opał.

Bitwa była skończona.

Pozostały tylko łupy.

Dotarła do drzwi prowadzących w mrok. Wąskie schody wykute w skalnym zboczu wiodły w dół za basztę. U ich wylotu migotało w oddali pomarańczowoczerwone światelko pochodni. Zeszła, przyspieszając dopiero na końcu.

Czy to możliwe? Po tylu latach...

Wpadła do długiej krypty, w której wzdłuż obu ścian stało ponad dwadzieścia kamiennych sarkofagów. W pośpiechu nie zauważyła niemal egipskich napisów, symboli nawiązujących do mrocznych tajemnic z czasów przed Chrystusem. W głębi zobaczyła w blasku pochodni dwie postacie: jedna stała, druga kłęczała, wspierając się na kijku.

Gdy do nich podeszła, zauważyła, że ostatni sarkofag został otwarty, a jego kamienna pokrywa leży pęknięta na podłodze. Wyglądało na to, że ktoś zaczął już szukać ukrytego tu skarbu. Ale

sprofanowany sarkofag krył tylko prochy i jakieś fragmenty suchych liści i łodyg.

Na twarzy lorda Godefroya malowało się rozczarowanie.

— A więc w końcu się zjawiasz — rzucił z fałszywym uśmiechem.

Zignorowała go. Był od niej o głowę wyższy, lecz miał takie same czarne włosy i orli nos, bo oboje pochodzili z południa Francji, a ich rody łączyło dalekie pokrewieństwo.

Opadła na kolana i spojrzała na twarz jeńca. Miał ogorzałą, połyskującą i gładką skórę. Spod kaskady ciemnych włosów wpatrywały się w nią czarne oczy, lśniące w blasku pochodni. Choć klęczał, nie okazywał strachu, tylko głęboki smutek, za co miała ochotę go spoliczkować.

Godefroy przykucnął obok niej, zamierzając się wtrącić, by mieć swój udział w tym, co — jak z pewnością wyczuwał — było sprawą ogromnej wagi. I choć należał do tych nielicznych osób, które wiedziały, kim ta kobieta naprawdę jest, nie znał jej głębszych sekretów.

— Pani... — zaczął.

Oczy jeńca zwięzły się, gdy to usłyszał. Utkwił w niej przenikliwe spojrzenie. Nie było w nim już ani śladu smutku, tylko cień lęku, który jednak szybko zniknął.

Ciekawe... czy wie o naszej linii krwi, naszych tajemnicach?

Godefroy przerwał jej rozmyślania i kontynuował:

— Na twój rozkaz straciliśmy wielu ludzi i przelaliśmy wiele krwi, aby odszukać to miejsce, ukryte w gąszczu legend i strzeżone w równym stopniu przez zaklęcia, co niewiernych, a znaleźliśmy tylko tego człowieka i skarb, którego pilnuje. Kim on jest? Dowiaduję się takich rzeczy, posługując się mieczem.

Nie traciła słów na rozmowę z głupcami. Zwróciła się do jeńca w dawnym arabskim dialekcie.

— Kiedy się urodziłeś?

Wbił w nią wzrok, niemal odpychając ją siłą woli jak potężnym podmuchem wiatru. Chyba się zastanawiał, czy ją okłamać, ale

spojrzawszy jej w oczy, uznał, że to bezcelowe.

Gdy się odezwał, jego słowa zabrzmiały miękko, ale miały swoją wagę.

— Urodziłem się w Muharram w Hijri w roku dziewięćdziesiątym piątym.

Godefroy rozumiał arabski na tyle, by powiedzieć drwiąco:

— W dziewięćdziesiątym piątym? To znaczy, że ma ponad tysiąc lat.

— Nie — powiedziała, bardziej do siebie niż do niego, obliczając w myślach. — Jego lud stosuje inny system liczenia lat niż my. Zaczynają od roku, gdy ich prorok Mahomet przybył do Mekki.

— A więc ten człowiek nie ma tysiąca lat?

— Bynajmniej — odparła, kończąc wyliczenia. — Przeżył zaledwie pięćset dwadzieścia lat. — Kątem oka dostrzegła, że Godefroy spojrział na nią zdumiony.

— To niemożliwe — rzekł drżącym głosem, który zdradzał jego prostackie niedowierzenie.

Wytrzymała spojrzenie jeńca. Wyczuwała w tych oczach niezgłębioną, przerażającą wiedzę. Próbowała sobie wyobrazić wszystko, czego był świadkiem w ciągu stuleci: powstające i upadające potężne imperia, miasta wyłaniające się z piasków, by z czasem popaść w ruinę. Ile mógłby jej wyjawić starożytnych tajemnic i zapomnianych historii?

Ale nie przybyła tu po to, by nękać go pytaniami.

Wątpiła zresztą, by na nie odpowiedział.

Nie ten człowiek — jeśli można było jeszcze nazywać go człowiekiem.

Gdy ponownie się odezwał, oznajmił tonem ostrzeżenia, zaciskając palce na swoim kiju:

— Świat nie jest jeszcze gotowy na posiadanie tego, czego poszukujesz. To zakazane.

Nie dawała za wygraną.

— Nie ty o tym decydujesz. Jeśli człowiek jest dość zawzięty,

by to zdobyć, ma również prawo to posiadać.

Spojrzał na nią ponownie, przenosząc wzrok na jej piersi ukryte pod twardą zbroją.

— Tak samo uważała Ewa w rajskim ogrodzie, kiedy posłuchała węża i skradła owoc z Drzewa Wiedzy.

— Ach — westchnęła, pochylając się ku niemu. — Mylisz się. Nie jestem Ewą. I nie poszukuję Drzewa Wiedzy, tylko Drzewa Życia.

Wydobywszy zza paska sztylet, stanęła szybko na nogi i wbiła ostrze po rękojeść pod szczękę jeńca, podnosząc go z kolan całą siłą woli. Za sprawą tego pojedynczego pchnięcia został krwawo przerwany nieskończony marsz stuleci — wraz z zagrożeniem, które stanowił ten człowiek.

Godefroy cofnął się o krok zaszokowany.

— Czy to nie po niego przybyłaś z tak daleka?

Wyszarpnęła sztylet, rozpryskując krew, i kopnęła ciało na bok. Chwyliła kij, zanim wypadł z bezwładnych palców jeńca.

— Nie jego szukałam, lecz tego, co nosił przy sobie.

Godefroy wpatrywał się w kostur z oliwnego drzewa, który trzymała w ręce. Świeża krew spływała strużkami po jego powierzchni, ukazując wyrzeźbione spiralnie delikatne sploty węży i winorośli.

— Co to jest? — spytał rycerz, szeroko otwierając oczy.

Po raz pierwszy uważnie mu się przyjrzała — i wbiła mu ostrze sztyletu w lewe oko. Widział zbyt wiele, by żyć. Gdy padł na kolana, wstrząsany straszliwymi śmiertelnymi konwulsjami, odpowiedziała na jego ostatnie pytanie, zaciskając palce na antycznej drewnianej różdżce.

— Oto Bachal Isu — szepnęła do przyszłych wieków. — Dzierżył ją Mojżesz, nosił Dawid i trzymał w dłoniach Król Królów. Oto laska Jezusa Chrystusa.

1

Takoma Park, Maryland

30 czerwca, godz. 11.44 czasu miejscowego

Gray Pierce wjechał na podjazd z głuchym warkotem silnika V8 swego thunderbirda rocznik 1960.

Sam też miał ochotę warczeć.

— Myślałem, że zamierzali sprzedać tę posiadłość? — powiedział Kenny.

Młodszy brat Graya siedział na fotelu pasażera, wychylając głowę przez okno i wpatrując się w parterowy budynek z drewnianą werandą i dwuspadowym dachem. Był to ich rodzinny dom.

— Już nie — odparł Gray. — I nie wspominaj o tym tacie. I tak jest paranoikiem z powodu swojej demencji.

— Więc nic się nie zmieniło... — mruknął z przekąsem Kenny.

Gray spojrział wilkiem na brata. Zabrał go z lotniska Dulles, po jego podróży przez cały kraj z północnej Kalifornii. Kenny miał zaczerwienione oczy z powodu długiego lotu — a może zbyt wielu buteleczek ginu, które serwowano w pierwszej klasie. W tym momencie przypominał Grayowi ich ojca, zwłaszcza z powodu cuchnącego alkoholem oddechu.

Wjeżdżając starym thunderbirdem do garażu w rodzinnym domu, dostrzegł w lusterku wstecznym swoje odbicie. Obaj bracia odziedziczyli po ojcu rumianą walijską cerę i ciemne włosy, ale on

miał krótko przystryżone włosy, podczas gdy Kenny wiązał swoje, co wyglądało zbyt infantylnie nawet u kogoś, kto dobiegał trzydziestki. Co gorsza, był ubrany w krótkie bojówki i luźną podkoszulkę z logo firmy surfingowej. Pracował jako programista dla spółki w Palo Alto i najwyraźniej był to jego zdaniem strój służbowy.

Gray wysiadł z samochodu, starając się nie okazywać rozdrażnienia zachowaniem brata. Podczas jazdy Kenny cały czas rozmawiał przez komórkę, załatwiając interesy na Zachodnim Wybrzeżu. Nie zamienił z nim niemal słowa, traktując go jak szofera.

Ja też mam swoje obowiązki, którymi muszę się zająć.

W ciągu ostatniego miesiąca Gray zrezygnował z normalnego życia, zaabsorbowany tym, co trzeba było załatwić po śmierci matki, i coraz gorszym stanem psychicznym ojca. Kenny zjawił się na pogrzebie, obiecując, że przez tydzień będzie pomagał porządkować rodzinne sprawy, ale po dwóch dniach musiał pilnie służbowo wyjechać i wszystko spadło znów na barki Graya. Pod wieloma względami byłoby prościej, gdyby Kenny w ogóle się nie zjawił. Pozostawił po sobie chaotyczną stertę polis i wiarytelności, z którymi Gray musiał zrobić porządek.

Dziś się to zmieniło.

Po długiej burzliwej rozmowie Kenny zgodził się przyjechać w tym krytycznym momencie. Ich ojciec cierpiał na postępującą chorobę Alzheimera i nagła śmierć żony jeszcze bardziej go pogrążyła. Spędził ostatnie trzy tygodnie na oddziale leczenia zaburzeń pamięci, ale wczoraj wrócił do domu. Gray potrzebował dodatkowej pary rąk. Kenny miał wystarczająco dużo urlopu, by móc przyjechać na całe dwa tygodnie. Tym razem Gray nie zamierzał wypuścić go wcześniej.

Sam wziął miesiąc wolnego i miał wrócić do centrali Sigmy za tydzień. Przedtem potrzebował kilku dni, by zrobić porządki w domu. Kenny miał mu w tym pomóc.

Brat wyciągnął torbę z bagażnika kabrioletu i zatrzasnął klapę, ale dotknął dłonią chromowanego zderzaka.

— A co z samochodem taty? Moglibyśmy go sprzedać. Chyba nie może prowadzić.

Gray schował kluczyki do kieszeni. Klasyczny thunderbird — krucoczarny, z wnętrzem obitym czerwoną skórą — był dumą i radością ojca, który robił wszystko, by go odrestaurować i podrasować: zainstalował nowy gaźnik marki Holly, cewkę zapłonową, dławik elektryczny.

— Auto zostaje — oznajmił Gray. — Zdaniem neurologa, środowisko, w którym tata przebywa, powinno być możliwie stabilne i niezmiennie, trzeba zachować rutynę, do której przywykł. Poza tym, nawet jeśli nie może prowadzić, będzie miał przy czym pomajstrować.

Zanim Kenny zdążył pomyśleć, co jeszcze można by sprzedać z dobytku ojca, Gray skierował się do drzwi. Nie fatygował się, żeby pomóc bratu nieść bagaż. Ostatnio zbyt wiele miał do dźwignia.

Ale Kenny jeszcze nie skończył.

— Skoro zamierzamy pozostawić wszystko po staremu, udawać, że nic się nie zmieniło, to co ja tu właściwie robię?

Gray odwrócił się na pięcie, zaciskając pięść i mając ochotę jej użyć.

— Jesteś wciąż jego synem, i najwyższa pora, żebyś to okazał.

Kenny zmierzył go wzrokiem. Jego oczy płonęły gniewem, przez co jeszcze bardziej przypominał ojca. Gray widywał wściekłość taty aż za często, zwłaszcza ostatnio, gdy jego agresję wywoływała demencja i strach. Ta złość nie była zresztą niczym nowym. Ojciec zawsze był twardym człowiekiem. Pracował przy wydobywaniu ropy w Teksasie, dopóki wypadek na platformie nie pozbawił go większej części lewej nogi i całej dumy, zamieniając nafcjarza w gospodynię domową. Wychowywanie dwóch chłopców, podczas gdy jego żona podjęła pracę, przychodziło mu z trudem. Aby sobie to zrekompensować, prowadził dom niczym obóz dla rekrutów. A

Gray — uparty jak ojciec, urodzony buntownik — zawsze stawiał opór. Aż w końcu, w wieku osiemnastu lat, po prostu spakował rzeczy i wstąpił do wojska.

To dzięki matce, która była spoiwem rodziny, znów się wszyscy połączyli.

A teraz ona odeszła.

Co zrobią bez niej?

Kenny przytargał w końcu swoją torbę i mijając brata, wymamrotał słowa, które — jak wiedział — zranią go jak zardzewiały drut kolczasty:

— To nie ja zabiłem mamę.

Miesiąc temu taki cios w brzuch powaliłby Graya na kolana. Ale po obowiązkowych sesjach u psychiatry — których kilka opuścił — oskarżenie brata sprawiło jedynie, że znieruchomiał i na chwilę stanął w miejscu. Matka zginęła w wybuchu miny pułapki przeznaczonej dla Graya. Psychiatra, starając się pozbawić go poczucia winy, użył określenia: „przypadkowa strata”.

Podczas pogrzebu nie otwarto trumny.

Nadal nie potrafił zmierzyć się wprost ze swoim bólem. Szedł przed siebie jedynie dzięki determinacji, że ujawni i zniszczy tajną organizację, która stała za tą bezduszną zbrodnią.

I właśnie to zrobił w tym momencie: odwrócił się i postąpił krok naprzód, a potem następny.

Tylko tyle mógł na razie zrobić.

W rejonie Seszeli

Godzina 22.58 czasu miejscowego

Coś obudziło ją w nocy na pokładzie zakotwiczonego jachtu.

Amanda instynktownie wsunęła rękę pod swój nabrzmiały brzuch, natychmiast kontrolując sytuację. Czy to był skurcz? W trzecim trymestrze ciąży instynkt macierzyński kazał jej przede

wszystkim chronić nienarodzone dziecko.

Nie czuła żadnego bólu w brzuchu, tylko zwykły nacisk na pęcherz, ale była po dwóch poronieniach i paniczne trzepotanie serca nie chciało ustąpić. Próbowwała sobie tłumaczyć, że pozostała dwójkę dzieci — chłopca i dziewczynkę — straciła w pierwszym tryestrze.

Mija już trzydziesty szósty tydzień. Wszystko jest w porządku.

Uniosła łokieć. Mąż chrapał cicho obok niej na łóżku w głównej kabinie jachtu, a jego ciemna skóra odznaczała się wyraźnie na tle białej satynowej poduszki. Umięśnione ciało Macka i jego męski czarny zarost na policzkach i podbródku dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Był jej Dawidem Michała Anioła, wyrzeźbionym z czarnego granitu. A jednak nie potrafiła pozbyć się niepokoju, przesuując palcem po jego nagim torsie i wahając się, czy go obudzić, choć pragnęła, by objął ją swymi silnymi ramionami.

Jej rodzice — których arystokratyczne rody żyły od pokoleń na Starym Południu — zgodzili się nie bez zastrzeżeń na to nowoczesne małżeństwo. Ale w sumie związek Amandy i Macka dobrze służył rodzinie. Ona była niebieskooką blondynką wychowaną w świecie kotylionów i przywilejów, on miał czarne włosy, ciemną skórę i oczy i zahartowało go trudne dzieciństwo na ulicach Atlanty. Nietypowa para stała się sztandarem rodzinnej tolerancji, po który sięgano w razie potrzeby. Ale w tym wzorcu szczęśliwej rodziny brakowało jednego kluczowego elementu: dziecka.

Gdy w ciągu roku nie zaszła w ciążę — z powodu problemów z płodnością męża — postanowili skorzystać z zapłodnienia in vitro, korzystając ze spermy dawcy. Za trzecim razem, po dwóch poronieniach, odnieśli w końcu sukces.

Położyła znów dłoń na brzuchu, jakby chcąc go osłonić.

To był chłopiec.

I nagle zaczęły się kłopoty. Tydzień temu dostała tajemniczą wiadomość z ostrzeżeniem, by uciekała, nie informując rodziny. List zawierał tylko ogólnikowe wyjaśnienia, wystarczające jednak,

żeby przekonać ją do ucieczki.

Z górnego pokładu dobiegł głośny łoskot. Usiadła wyprostowana, wyciążając słuch.

Jej mąż przewrócił się na plecy, przecierając sennie oczy.

— Co się dzieje, kochanie?

Pokręciła głową i uniosła dłoń, by go uciszyć. Zachowali wszelkie środki ostrożności, niczego nie zaniedbując. Wynajęli kilka prywatnych samolotów, fałszowali dokumenty i trasy przelotów i przed tygodniem wylądowali po drugiej stronie świata, na lotnisku na wysepce Assumption w archipelagu Seszeli. Kilka godzin później wypłynęli prywatnym jachtem między łańcuch wysp rozciągających się szmaragdowym łukiem na lazurowym morzu. Amanda chciała być odizolowana, z dala od wścibskich oczu — a jednocześnie dość blisko stolicy Seszeli, Victorii, na wypadek gdyby pojawił się jakiś problem z ciążą.

Odkąd tam przybyli, tylko kapitan i dwaj członkowie jego załogi widzieli ich twarze, lecz żaden nie znał ich prawdziwych nazwisk.

Plan wydawał się doskonały.

Dotarły do niej przytłumione głosy. Nie mogła rozróżnić słów, ale usłyszała ostre groźby, a potem strzał, dźwięczny i głośny jak brzęk czyneli.

Serce zaczęło jej walić jak młotem.

Nie teraz, nie, kiedy jesteśmy tak blisko.

Mack wyskoczył z pościeli w samych bokserkach.

— Zostań tutaj, Amando! — Otworzył górną szufladę szafki nocnej i wyciągnął duży czarny automatyczny pistolet, służbową broń z czasów, gdy był policjantem w Charlestonie. Wskazał w głąb kabiny. — Schowaj się w łazience.

Nogi ugiwały się pod nią ze strachu. Brzuch utrudniał jej ruchy.

Mack rzucił się do drzwi i zajrzał przez wizjer. Po chwili otworzył je na tyle, by wyslizgnąć się na zewnątrz, i zamknął bezgłośnie za sobą, rzuciwszy przedtem:

— Przekręć klucz!

Wykonała jego polecenie, po czym rozejrzała się po kabinnie za jakąkolwiek bronią. Znalazła nożyk używany do krojenia świeżych owoców, które dostarczano co rano do kabiny. Trzonek był nadal lepki od soku z papai. Ściskając go w rękę, podeszła do łazienki, ale przystanęła w progu. Nie mogła wejść do środka. Nie chciała być uwięziona w tak ciasnej przestrzeni. Niewielkie pomieszczenie nie pomieściłoby ogromu jej strachu.

Rozległy się kolejne strzały, krzyki i przekleństwa.

Osunęła się na kolana, zaciskając w jednej ręce nożyk, a drugą podtrzymując brzuch. Dziecko w jej łonie też się niepokoiło. Poczowała lekkie kopnięcie.

— Nie pozwolę im ciebie skrzywdzić — szepnęła do swego chłopca.

Z góry dochodził tupot nóg.

Podniosła głowę, jakby chciała dostrzec przez sufit oświetlony gwiazdami pokład. Co się tam działo? Ilu ich było?

Potem usłyszała ciche drapanie o drzwi... i delikatne pukanie.

Podeszła szybko i przytknęła oko do wizjera. Mack skinął do niej głową, po czym odwrócił wzrok w kierunku korytarza. Czyżby znalazł drogę ucieczki z jachtu — czy w desperacji po prostu wrócił, by jej bronić?

Zdrętwiałymi palcami przekręciła klucz w zamku i gdy zaczęła uchylać drzwi, ktoś otworzył je na oścież kopniakiem. Cofnęła się zaszokowana. Do kajuty wtargnął wysoki czarny mężczyzna z nagim torsem — ale nie był to Mack.

Trzymał w prawej ręce odciętą głowę Macka, z której spływała mu po ramieniu lśniąca krew. W drugiej ręce miał równie zakrwawioną maczetę. Uśmiechał się szeroko, pokazując białe zęby jak rekin, najwyraźniej rozbawiony swoim żartem.

Amanda cofnęła się przerażona, zapominając o nożyku.

Zza potwora wyłoniła się kolejna postać. Błady mężczyzna w idealnie skrojonym białym garniturze. Jedyne barwne akcenty stanowiły jego czarne włosy i cienki wąs nad jeszcze cieńszymi

wargami. Był na tyle wysoki, że musiał się pochylić, by wejść do kajuty. On również się uśmiechnął, ale przepraszająco, jakby zakłopotany obcesowością swego towarzysza.

Wypowiedział kilka ostrych słów w jakimś afrykańskim dialekcie, najwyraźniej go besztając.

Ten drugi, wzruszywszy ramionami, cisnął głowę jej męża na łóżko.

— Pora już iść — rozkazał jej z wytwornym brytyjskim akcentem mężczyzna w garniturze, jakby zapraszał ją na przyjęcie.

Nie ruszyła się z miejsca. Nie potrafiła.

Brytyjczyk westchnął i dał znak swemu towarzyszowi.

Ten podszedł do niej, chwycił ją brutalnie za łokieć i wyciągnął za drzwi. Brytyjczyk podążył za nimi przez krótki korytarz i po schodkach na pokład rufowy.

Zobaczyła tam obraz jeszcze większej grozy i chaosu.

Kapitan i jego dwaj ludzie, wraz z dwoma napastnikami, leżeli w kałużach krwi. Atakujący zginęli od kul. Załogę jachtu brutalnie poćwiartowano.

Ocalali napastnicy zgromadzili się na pokładzie lub w pokiereszowanej łodzi, przywiązanej do relingu sterburty. Kilku przeczesywało jacht, wyciągając skrzynki z winem, torby z zapasami i to, co miało jakąkolwiek wartość. Wszyscy byli czarnoskórzy, niektórzy nosili plemienne tatuaże, wielu było jeszcze dziećmi. Mieli cały arsenał broni: zardzewiałe maczety, starego typu automatyczne karabiny i pistolety.

Piraci.

W blasku księżyca, przy świeżym podmuchu wieczornego południowo-wschodniego wiatru, rozjaśniło jej się w głowie na tyle, że dopadła ją rozpacz i gorzkie poczucie winy. Sądziła, że na Sesselach są dostatecznie daleko od Rogu Afryki, aby nie zagrali im współcześni piraci grasujący na tych wodach.

Fatalny błąd.

Popchnięto ją w kierunku zakotwiczonej łodzi. Towarzyszyl jej

Brytyczyk. Czytała gdzieś w raportach ojca, jak kilku europejskich ekspatriantów zajęło się wspieraniem i finansowaniem nowego intratnego przemysłu — piractwa.

Spojrzała na Brytyjczyka, zastanawiając się, jakim cudem podczas tej rzezi nie zaplałił sobie nieskazitelnego garnituru ani jedną kroplą krwi.

Musiał dostrzec jej spojrzenie i gdy dotarli do relingu sterburty, odwrócił się do Amandy.

— Czego ode mnie chcecie? — spytała, wpatrując się w niego przenikliwie i czując nagle ulgę, że żadne dokumenty na pokładzie nie ujawniają jej prawdziwej tożsamości. — Jestem nikim.

W obliczu jej stalowej determinacji Brytyjczyk opuścił wzrok — ale nie z powodu wstydu czy wyrzutów sumienia.

— Nie potrzebujemy ciebie tylko twojego dziecka — odparł, spoglądając na jej brzuch.

Takoma Park, Maryland

Godzina 19.00 czasu miejscowego

Opierając o biodro torbę z prowiantem, Gray otworzył zaopatrzone w siatkę tylne drzwi rodzinnego domu. Uderzył go w nozdrza zapach cynamonu z pieczonego ciasta. Wracając z siłowni, dostał wiadomość od Kenny’ego, żeby przywiózł francuskie waniliowe lody i parę innych specjalów potrzebnych na dzisiejszą rodzinną kolację — pierwszą od tragicznej śmierci matki.

Rzuciwszy okiem na kuchenkę, zobaczył duży garnek z bulgoczącym sosem bolońskim. Obok zlewu ociekało w sicie spaghetti. Syczenie pary skierowało jego uwagę z powrotem na garnek. Dopiero teraz spostrzegł, że czerwony sos gwałtownie wrze. Niepilnowany i zapomniany, wykypiał spod pokrywki, wylał się z garnka i skwierczał na kuchence gazowej.

Coś było nie w porządku.

Potwierdził to wrzask dobiegający z sąsiedniego pokoju:

— GDZIE SĄ MOJE KLUCZE?!

Gray rzucił torbę z prowiantem na blat, wyłączył palnik i ruszył do salonu.

— KTOŚ KRADNIE MÓJ SAMOCHÓD!

Minąwszy jadalnię, Gray trafił na awanturę w salonie. Stojący na środku kamienny kominek, zimny teraz i ciemny, otaczały wyściełane meble. Ojciec wyglądał jak szkielet w odchylanym fotelu obok panoramicznego okna. Kiedyś wypełniał ten fotel, dominując w całym salonie. Teraz był kruchym cieniem dawnego siebie.

A jednak pozostał silny. Próbował podźwignąć się z fotela, ale Kenny zacisnął mu dłonie na ramionach. Pomagała mu drobna kobieta o krótko przyciętych kasztanowo-siwych włosach, ubrana w błękitny fartuch. Przyklękawszy na jedno kolano, trzymała jego ojca za rękę i uspokajała go.

Mary Benning była dyplomowaną pielęgniarką szpitalnego oddziału zaburzeń pamięci. Przebywając tam, ojciec zapałał do niej sympatią. Gray zdołał ją wynająć, by pełniła przy nim nocne dyżury w domu i była pod ręką, gdy ojciec najbardziej potrzebował pomocy. Kenny miał go pilnować w ciągu dnia, aż Gray i Mary zatrudnią drugą pielęgniarkę, by zapewnić mu całodobową opiekę. Był to duży wydatek, ale dyrektor Crowe, szef Graya, załatwił stosowną rekompensatę, aby pokryć koszty i umożliwić ojcu Graya pobyt w domu.

— Harriet! Puść mnie! — Ojciec uwolnił rękę z uścisku Mary, niemal uderzając Kenny'ego łokciem w nos.

Pielęgniarka trzymała nadal rękę na jego kolanie, ściskając je uspokajająco.

— Jack, to ja, Mary.

Spojrzał jej w oczy zdezorientowany i opadł na fotel, gdy nagle wróciła mu pamięć.

Mary zerknęła na Graya.

— Pański ojciec widział, jak przyjechał pan z zakupami. Zobaczył thunderbirta. Trochę spanikował i nie wiedział, co się dzieje. Zaraz

się pozbiera.

Kenny wyprostował się, wyraźnie wstrząśnięty. Nigdy przedtem nie widział ojca w takim stanie. Cofnął się zaszokowany.

W tym momencie ojciec zwrócił na niego uwagę. Zrobił wielkie oczy.

— Kenny, skąd się tu wziąłeś?

Kenny nie wiedział, co odpowiedzieć, wciąż zdumiony faktem, że pamięć ojca przypomina ser szwajcarski.

Mary przyszła mu w sukurs, nie ukrywając prawdy, tylko klepiąc ojca po kolanie.

— Jack, on jest tu przez cały dzień.

Ojciec rozejrzał się po ich twarzach, po czym opadł na fotel.

— O tak, słusznie... pamiętam...

Ale czy tak było? Czy tylko przytakiwał, próbując udawać normalność?

Kenny rzucił bratu przerażone, lodowate spojrzenie.

Witaj w moim świecie, pomyślał Gray.

— Lepiej skończę szykować kolację — oznajmiła Mary, wstając i otrzepując z kurzu kolano.

— A ja się rozpakuję. — Kenny chciał jak najszybciej wyjść.

— Dobry pomysł. I umyj ręce — rozkazał ojciec takim tonem jak kiedyś. — Twój pokój jest...

— Nie zapomniałem, gdzie jest — przerwał mu Kenny, nie bacząc na niestosowność tej uwagi wobec człowieka z chorobą Alzheimera.

Ale tata tylko skinął głową z zadowoleniem.

Gdy Kenny wychodził, ojciec zauważył w końcu obecność Graya. Wyraz dezorientacji na jego twarzy zastąpił dawny gniew. Ojciec potrzebował niemal dwóch tygodni, by przyjąć do wiadomości i zapamiętać, że żona nie żyje, więc w jego umyśle była to nadal świeża rana. Znał również przyczynę tej straty. To zawsze pamiętał. W ciągu minionych tygodni było wiele złych dni, ale co obaj mogli na to poradzić? Żadne słowa nie mogły jej przywrócić.

Wszyscy w pokoju drgnęli, słysząc pukanie do drzwi. Gray w napięciu oczekiwał najgorszego.

Kenny, który był najbliżej drzwi, otworzył je.

Na ganku stała gibka dziewczyna w rdzawoczerwonej bluzce i luźnej czarnej skórzanej kurtce motocyklowej. Pod ręką trzymała kask.

Gray podszedł do drzwi. Na jej widok dzień przestał nagle być ponury.

— Seichan, co tu robisz?

— Nie pozwól damie stać na progu, Kenny! — wtrącił ojciec, zapraszając ją gestem do środka. Może tracił pamięć, ale potrafił rozpoznać atrakcyjną kobietę, gdy zjawiała się w jego domu.

— Dziękuję, panie Pierce. — Seichan wślizgnęła się do środka, poruszając się z gracją dzikiej kocicy, smukłej, zwinnej i umięśnionej. Mijając Kenny'ego oszacowała go spojrzeniem; najwyraźniej nie zrobił na niej wrażenia.

Potem przeniosła wzrok na twarz Graya i jej oczy spochmurniały — nie ze złości, bardziej z zatroskania. Prawie ze sobą nie rozmawiali, odkąd trzy tygodnie temu połączył ich pocałunek i obietnica. Nie było to romantyczne ślubowanie, tylko przyrzeczenie, że będzie z nim współpracować, żeby zdemaskować tych, którzy przyczynili się do zabójstwa jego matki.

Gray zapamiętał jednak miękkość tych warg.

Czy za obietnicą kryło się coś więcej, coś jeszcze niewypowiedzianego?

Zanim zdążył się nad tym zastanowić, ojciec wskazał na stół.

— Właśnie siadamy do kolacji. Może pani do nas dołączy?

— Bardzo dziękuję — odparła oficjalnie. — Ale nie zostanę długo. Muszę tylko zamienić słowo z pana synem.

Jej oczy w kształcie migdałów — świadczące o euroazjatyckim pochodzeniu — wpatrywały się intensywnie w Graya.

Coś się wydarzyło.

Seichan była kiedyś zabójczynią w tej samej tajnej organizacji,

która odpowiadała za śmierć jego matki — międzynarodowej grupie przestępczej nazywanej Gildią. Jej prawdziwa tożsamość i cele pozostawały nieznane nawet zatrudnionym w niej agentom. Organizacja działała za pośrednictwem indywidualnych komórek na całym świecie, funkcjonujących niezależnie, bez wiedzy o pozostałych. Seichan zwróciła się w końcu przeciw Gildii, zwerbowana przez dyrektora Crowe'a, aby służyć jako podwójny agent, dopóki podstęp się nie wydał. Teraz — ścigana zarówno przez byłych pracodawców, jak i zagraniczny wywiad za dawne zbrodnie — była partnerką Graya i jego podopieczną.

A może kimś więcej.

Podszedł do niej.

— Co się dzieje?

— Miałam telefon od dyrektora Crowe'a — odparła, zniżając głos. — Od razu tu przyjechałam. Somalijscy piraci porwali na Szeszelach jakąś amerykańską szybę. Painter chciał wiedzieć, czy weźmiesz udział w misji.

Gray uniósł brwi. Dlaczego Sigmę angażowano do sprawy zwykłego porwania? Takim przestępstwem mogła się zająć policja albo marynarka. Jednostka Sigma — złożona z żołnierzy sił specjalnych, których przeszkolono dodatkowo w różnych dziedzinach nauki — była tajnym oddziałem DARPA, Agencji do spraw Zaawansowanych Badań w Dziedzinie Obronności. Grupy Sigmy wysyłano w różne rejony świata dla obrony przed globalnymi zagrożeniami, a nie w przypadku porwania pojedynczego Amerykanina.

Seichan, która musiała wyczytać podejrzliwość w twarzy Graya, wbiła w niego wzrok. Najwyraźniej wiedziała więcej, ale nie mogła mówić swobodnie w obecności pozostałych. Działo się coś poważnego. Uświadomiwszy to sobie, poczuł szybsze bicie serca.

— Nie ma czasu do stracenia — dodała. — Jeśli jedziesz, odrzutowiec tankuje już paliwo, a Kowalski jest w drodze, żeby nas zabrać. Możemy wpaść po drodze do twojego mieszkania. Instrukcje

otrzymamy na trasie.

Zerknął na fotel obok zimnego kominka. Ojciec słyszał ich rozmowę i patrzył synowi prosto w oczy.

— Jedź — powiedział. — Wykonuj swoją pracę. Mam tu wystarczającą pomoc.

Gray poczuł ulgę, słysząc to szorstkie przyzwolenie. Modlił się, by oznaczało ono, że ojciec choć trochę mu wybaczył. Ale jego następne słowa, wypowiedziane z goryczą, rozwiały te nadzieje.

— Poza tym, im mniej cię teraz widuję... tym lepiej...

Gray cofnął się o krok. Seichan chwyciła go za łokieć, jakby gotowa go podtrzymać. Ale bardziej niż cokolwiek uspokoiło go ciepło jej dłoni, bliskość drugiego człowieka — podobnie jak ten pocałunek sprzed tygodni.

Mary weszła do pokoju, wycierając ręce w ręcznik. Ona również słyszała te szorstkie słowa i spojrzała na Graya ze współczuciem.

— Mam tu wszystko pod kontrolą. Jest pan wolny.

Podziękował jej w milczeniu i pozwolił Seichan poprowadzić się do drzwi. Czuł potrzebę, by pożegnać się jakoś z ojcem. To pragnienie paliło go boleśnie w piersiach, ale nie znajdował słów, by je wyrazić.

Nim się zorientował, był już na werandzie. Przystanął na górnym schodku i zaczerpnął głęboko powietrza, oddychając nierównomiernie.

— Dajesz radę? — spytała Seichan.

Przeczesał palcami włosy.

— Będę musiał.

Wpatrywała się jednak nadal w jego twarz, jakby poszukując prawdziwszej odpowiedzi.

Nim zdołała ją odnaleźć, pisk opon na jezdni obwieścił przybycie jego środka transportu. Oboje odwrócili się, gdy czarny SUV zatrzymał się raptownie. Przez opuszczoną szybkę uleciała na zewnątrz chmura dymu z cygara. Za nią ukazała się ogolona głowa goryla żującego tytoniowy ogarek.

— Idziesz czy nie?! — zawołał szorstko Kowalski.

Choć ten facet go wkurzał, Gray nigdy nie czuł się szczęśliwszy na widok swego prymitywnego kompana. Gdy schodził z ganku, Kenny wybiegł za nim i zastąpił mu drogę.

— Nie możesz teraz wyjechać. Co ja zrobię?

Gray wskazał na dom.

— Teraz twoja kolej. A co ja robiłem przez cały czas?

Przecisnął się obok prychającego brata i ruszył w kierunku czekającego SUV-a i zaparkowanego motocykla Seichan.

Właśnie wkładała kask.

— Kogo jeszcze nam przydzielono? — zapytał.

— Dostaliśmy rozkaz, żeby zabrać dwie osoby, które są już na miejscu i których niezwykle umiejętności mają nam pomóc w tej misji.

— Kim oni są?

Uśmiechnęła się lekko, opuszczając pokrywę kasku. W jej słowach dochodzących z zamkniętej przestrzeni brzmiało rozbawienie.

— Mam nadzieję, że zaszczepiłeś się przeciw wścieklicznie.